

ZOFIA TARKA

ur. 1921; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, praca w czasie okupacji, kino Corso, bombardowanie Lublina we wrześniu 1939 roku, zniszczenia wojenne, zniszczenia Lublina, ulica Krakowskie Przedmieście, strach, łapanki hitlerowskie, warunki życia w okresie okupacji

Życie w Lublinie podczas II wojny światowej

Byłam po maturze, [gdy wybuchła wojna]. Zaczęłam pracować w magistracie, bo jak zaczęli rejestrować i wysyłać do Niemiec tych, co nie pracowali, to zarząd miasta przyjmował takich praktykantów; ciocia moja pracowała w urzędzie stanu cywilnego i ona mi załatwiła tam pracę, żeby mieć zaświadczenie. Wzięli nas na pół roku. Podpisywaliśmy, że [będziemy pracowali] bezpłatnie, ale dali nam po dwadzieścia złotych miesięcznie. I za te dwadzieścia złotych to ja mogłam sobie kupić chyba pończochy wtedy, [bo] już wszystko zaczęło drożeć. A po pół roku zostałam na stałe i dostawałam sto dwadzieścia złotych, to już nic nie mogłam za to kupić, to już były grosze. Wtedy dawali takie deputaty, a to skóry kawałek, a to wódkę, a to drożdże i to się tak sprzedawało i właściwie było to źródło dochodu.

[Gdy] wybuchła wojna, [to] człowiekowi się wydawało, że to nic takiego, [że sporo czasu upłynie], zanim tu przyjdą. Człowiek sobie wyobrażał wojnę jak na filmach. Jeszcze w kinie byłam pierwszego [września], akurat jak wojna wybuchła, w „Corisie”, co to potem zbombardowali. Na drugi dzień już było bombardowanie i już się zaczęła wojna, dopiero sobie człowiek zdał sprawę. I właśnie w magistrat bomba [uderzyła], tam ciocia moja właśnie pracowała i ranna była. Zginęło tam parę znajomych osób. Alarmy to ciągle były przedtem, to się zdawało, że alarm to alarm. A tu coś zaczęło walić, poleciały od razu szyby – tam kazali nam zaklejać okna takimi papierami, że jak będzie ewentualnie [atak], to nie wylecą wtedy – wszystkie wyleciały, co do jednego. Pobyliśmy jeszcze trochę [w Lublinie], a potem na wieś wyjechaliśmy. Babcia nie chciała, powiedziała, że za nic na świecie nie pojedzie, babcia została i tatuś został. A mama z nami pojechała na wieś, tam ojca rodzina była. Tam było bezpieczniej, bo tu jak lotnisko bombardowali, tą wytwórnię samolotów na Majdanku, to przecież tam strzelali do ludzi z karabinu, oni uciekali w te kartofliska, strzelali do nich tak, jak do zajęcy, masa ludzi zginęła wtedy. A na wsi to było zawsze spokojniej.

Jeszcze dziewiątego [września było] drugie bombardowanie [Lublina], to było gorsze jeszcze, bo śródmieście wtedy zbombardowali. To wtedy właśnie kino „Stylowy” poszło i hotel „Victoria”, taki duży budynek. [Lublin] był zniszczony. Krakowskie [Przedmieście] szczególnie, i „Victoria”, i „Stylowy”, i tutaj, gdzie bank teraz jest. Był taki sklep z manekinami i jak to wszystko zbombardowali, [to] te manekiny tak na ulicy leżały, okropne to było wrażenie, bo wydawało się, że to ludzie. Krakowskie to porządnie zbombardowali. Ale jak się pojechało potem do Warszawy i zobaczyło, co tam się dzieje, to tu nic nie było w porównaniu [ze stolicą]. Po tym drugim bombardowaniu właśnie żeśmy wyjechali. Jak Niemcy weszli, to wtedy myśmy tu wrócili, ja potem szłam do pracy.

Strach był ciągle tylko i taka walka o życie, [bo] właściwie z czego żyć. Otworzyli potem ten sąd, tatuś niby poszedł do pracy, [ale] tej pensji to nic nie było, z tego żyć nie można. I mamusia za taki handel się wzięła – przyjeżdżał ze wsi sklepikarz po towar furmanką i tu kupowało się coś dla niego, a on przywoził a to jakieś masło, a to jakiś kawałek rąbanki. I tak to sprzedawało się. Potem stąd on wywoził tam znowu i jakoś my przy tym żeśmy żyli. Uczni na stacji mieliśmy, bo jak otworzyli szkołę handlową, to dzieci się zaczęły uczyć. I takich uczni na stacji właśnie mieliśmy – nie za pieniądze, bo też pieniędzy nie mieli, tylko za kartofle, kaszę, jakąś mąkę, ileś tam tego dawali i tak się przy tym wszystkim żyło. Robiło się placki kartoflane. Na kolację żeśmy jedli odsmażane kartofle z ogórkiem kiszonym. Jak [przyszły] mąż przychodził do mnie, to mamusia mówi: „No, coś mu damy jeść?”, a ciocia mówi: „A co? Jak nie chce, to niech nie je. To co macie, to dawajcie”. Zjadł te kartofle. I potem właśnie jeszcze śmieli się, bo siostra, jak już miała takiego adoratora, to jak jeden z tych chłopców, co u nas mieszkał, pyta się go: „A co ci tam dali? Kartofle jadłeś?”, mówi: „Kartofle”, „To już cię złapali – mówi. – Na kartofle łapią”.

Łapanki były na ulicy. Nieraz kołatanie do drzwi, nie wiadomo po co przychodzili – aresztować, nie wiadomo za co, nie wiadomo co. Nigdy człowiek nie wiedział, [czego] się ma spodziewać. To był bardzo trudny okres. Ciężko o utrzymanie, ten ciągły strach o coś – a czy przyjdą, a czy będą łapać. Takie łapanki na ulicy to tak, jak rakarze psy kiedyś łapali przed wojną. Do ciężarówki załadowali kupę ludzi, wywozili i już. Pierwsza to była taka łapanka w Boże Ciało, akurat ludzie z procesji wyszli. To były straszne czasy, trudno to sobie wyobrazić w ogóle.

Data i miejsce nagrania	2011-03-02, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Piotr Krotofil
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"